

Grzegorz Gortat

# Mur

*fragment powieści*

Numer wspinający się przede mną po szerokich szczeblach drabiny ubrany był jak ja w płócienne buty i luźny, biały kombinezon z gęstego płótna. Słońce prażyło, materiał na plecach i pod pachami zdążyły mu zabarwić ciemne plamy. Musiałem wyglądać podobnie. Próbowałem odgadnąć, czy to mężczyzna, czy kobieta. Nie żeby mi to było do czegoś potrzebne. Zwykła ciekawość. Szedł chwiejnie, krokiem nowicjusza. Łysy czerep szklął się w słońcu od potu. Dzieliła nas przepisowa odległość czterech szczebli. Bałem się, że nie utrzyma ciężaru, cegły zsuną się z nosidełka na plecach i runą na mnie. Żeby nie patrzeć w dół, tam, gdzie się zaczynała opasająca Mur szeroka wstęga szarej ziemi, zacząłem liczyć. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Zbliżona do ideału. Z zadartą głową, ostrożnie pokonując kolejne szczeble, powtarzałem w myślach: jeden, dwa, jeden, dwa, jeden, dwa.

Z lewa i prawa pięty się po przystawionych do Muru drabinach setki bliźniaczych postaci. W pokrytych pyłem białych kombinezonach podobni do gigantycznych, ślamazarnych larw, wszyscy o jednako bezwłosych czaszkach, pochyleni pod ciężarem cegieł równo ułożonych w drewnianych nosidełkach. Pracowałem już cztery godziny i z utęsknieniem wyczekiwałem krótkich przerw, gdy po złożeniu na szczycie Muru kolejnej partii cegieł wślizguję się do kosza przypisanej do mojego sektora jednoosobowej windy, a ta ze skrzypieniem lin i jękiem drewnianych kołowrotów zwozi mnie z wysokości sześciu pięter na dół, zapewniając cenne sekundy odpoczynku, zanim znowu stanę na twardym gruncie i zamelduję się po nowy ładunek. Zazdrościłem szczęśliwcom, którym dziś wypadło pracować w pobliżu Wieży Trzech Praw. Monolit o ścianach wyłożonych białym marmurem, zwieńczony iglicą z republikańską flagą Jedności, stał na północnych obrzeżach placu apelowego, niemal dokładnie naprzeciwko głównej Bramy, i o tej porze dnia dawał nielicznym upragniony cień.

Dziwna rzecz. Zdążyłem o Wieży pomyśleć, gdy na jej szczycie zagrała trąbka, zwiastując południe i porę zmiany strażników.

Wtedy numer przede mną zrobił coś, czym ściągnął na siebie moją uwagę i przykuł spojrzenie strażnika na najbliższej wieży wartowniczej. Najpierw z wprawą, jakiej i ja mógłbym się od niego uczyć, zdjął jak należało ciężar z pleców i złożył na szczycie Muru, obok stosów cegieł czekających na budowniczych; zaraz potem płynnym ruchem, jakby ściągał z siebie zbyt luźną skórę, uwolnił się od ubrania, na koniec zsuwając buty. Przez jedną krótką chwilę widziałem spodnią część jego stóp. Wypalone lub

---

## Grzegorz Gortat

wycięte ostrym narzędziem, na wpół zabliznione rany odcinały się purpurą od bladej skóry podszew, tworząc rysunek krzyża, znak, jakim handlarze bydła dawniej znakowali najsłabsze sztuki w stadzie, te przeznaczone na wybicie. Tym samym znakiem chrześcijańskie sekty przez całe wieki opatrywały swoje świątynie.

Strażnik właśnie zamierzał wpuścić zmiennika; widząc, co się dzieje, cofnął się od metalowych drzwi wieży wartowniczej, szarpnięciem zdjął przewieszony przez ramię karabin i wycelował. Wstrzymałem oddech. Wyobraziłem sobie jego palec na spuście i z ciekawością, o jaką bym się nie posądzał, czekałem na strzał. Powstrzymał się jednak. Uruchomił przycisk syreny i z dziesiątków megafonów popłynął jękliwy, wdzierający się pod czaszkę dźwięk.

Numer odwrócił się do mnie twarzą. Blade, pozbawione jednego włoska ciało, z klatką wystających żeber i dyndającym przyrodzeniem pod płaskim brzuchem. Mężczyzna. Napotkał moje spojrzenie. Uśmiechnął się, jakby właśnie na to czekał. Coś krzyknął, ale jazgot syreny zagłuszał słowa. Potem się odwrócił i zobaczyłem już tylko oddalające się plecy, kiedy w dwóch susach pokonał szeroki w tym miejscu mur i skoczył.

Megafony zatrzeszczały i jeden po drugim, jak psy gubiące trop, ucichły. Wszyscy staliśmy tam, gdzie alarm nas zastał. Rozległ się zgrzyt pośpiesznie otwieranej bramy i tupot nóg wybiegających strażników.

Niezadługo wrócili. Byłem pewien, że brama zaraz się zatrzaśnie a trup, skoro tylko obmyją go z krwi, jeszcze tego samego dnia zawieśnie na placu apelowym. Nic podobnego się nie stało. Przy wtórze gwizdków usłyszałem głos Kapitana wydającego rozkazy. Zaterkotały silniki wojskowych samochodów i nawet do miejsca, gdzie stałem, dotarło popiskiwanie detektorów obracających się na dachach wozów. Zbierały sygnały tak, jak tropiące psy łowiły zapachy. Na dźwięk klaksonu kolumna ruszyła.

Słuchając, jak brama się zamyka a ryk silników oddala się i ostatecznie zamiera, szukałem racjonalnego wyjaśnienia tego, co na własne oczy ujrzałem. Jakież człowiek przeżyłby skok z wysokości dwudziestu metrów na twardą ziemię? Jeśli nawet odniósł obrażenia, to niezbyt poważne, skoro o własnych siłach podjął ucieczkę.

Kapitan pozostał na miejscu, bo z megafonów popłynęły teraz jego rozkazy. Posłusznie wszedłem na ostatni szczebel i złożyłem nosidełko z cegłami na szczycie Muru. Prostując zeszywniałe plecy, nie wiedząc czemu pewny, że tego dnia podobne wykroczenie ujdzie mi płazem, wybiegłem spojrzeniem na drugą stronę. Jak okiem sięgnąć idealnie płaski, pozbawiony roślinności krajobraz, którego sztucznej harmonii nic nie burzyło. Samochody krążyły nieporadnie po tej rozległej pustce, wolnej od głązów, strumieni, wzniesień czy uskoków, błyskając w słońcu antenami i co rusz zmieniając kierunek, z tej odległości podobne do wielkich owadów, obzartych i przez to nieco otępiałych.

Jednak udało mu się uciec, powiedziałem głośno, bo stojąc na Murze nie musiałem się bać, że ktoś usłyszy.

Wszyscy pojedynczo na plac apelowy, zarządził Kapitan.

Pojedynczo, z przyzwyczajenia powtórzyłem. Jeden to wszyscy, wszyscy to jeden. Nie mamy imion ani nazwisk. Mikroskopijna płytka wszczepiona w kciuk lewej ręki

zawiera wszystko, co Republika o każdym musi wiedzieć – począwszy od daty urodzenia po aktualny stan zdrowia. Informacje można modyfikować, samej płytki jednak nie sposób się pozbyć, chyba że z kciukiem. Byłem pewien, że kiedy przywiozą uciekiniera – bo że go wytropią i sprowadzą z powrotem, nie wątpiłem nawet przez chwilę – kciuk będzie na swoim miejscu. Podobno dawniej się zdarzało, że zwierzę schwymane w sidła, dla ratowania życia odgryzało unieruchomioną kończynę; ale o dawnym świecie mówi się wiele dziwnych rzeczy.

Pojedynczo na plac apelowy, ryknął Kapitan. Zupełnie niepotrzebnie, bo ze wszystkich stron, porzucając narzędzia i pracę, ciągnęliśmy od strony Muru w długich, uporządkowanych szeregach, stopniowo dołączając do kolumn już ustawionych na miejscu zbiórki w karnym ordynku, twarzami do Wieży Trzech Praw. Nad placem łopotała biała flaga Jedności. „Biała jak serce Jakuba Martensa, który nas stworzył, zrównał w prawach i obdarzył wolnością”.

Zmierzałem na swoje miejsce, powtarzając jak automat słowa szkolnej czytanki o białym sercu prezydenta Martensa. Równo odmierzałem kroki. Jeden, dwa. Jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Zbliżona do ideału.

\*\*\*

Kapitan na długo zniknął. Kiedy ponownie się pojawił, był przebrany w biały galowy mundur – oficerskie pagony, czapka ze złotym otokiem, kontrastujące z białą spodni czarne, wyglansowane do połysku oficerki. Stał na skraju placu apelowego, bokiem do nas ustawionych w czworobok, i z zadartą głową długo się wpatrywał w niebo tam, gdzie południowe słońce przebijało się mozolnie przez ołowiane chmury. Chusteczką otarł pot z czoła i ruszył, lustrując pierwszy szereg. Miał starą twarz czterdziestolatka, ale żyłaste, wysportowane ciało wciąż było mu posłuszne. Zatrzymał się i usłyszałem, jak jednego z nas pyta:

Wiesz, dlaczego tak stoicie?

Za karę, panie Kapitanie.

Dureń!

Budowniczo wie właśnie skończyli stawiać pod Wieżą Trzech Praw wysokie rusztowanie. Kapitan zgrabnie wbiegł po schodkach na sam szczyt.

Dziś świętujemy!, zawołał.

Ręką dał znak orkiestrze dętej. Zagrała, a Kapitan zaczął śpiewać. Pod białą flagą furkoczącą na wietrze, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, drobny na tle Wieży, radośnie zaintonował hymn Republiki. Jego entuzjazm i nam się udzielił.

Śpiewaliśmy o wolności. O najlepszym ze światów, w jakim przyszło nam żyć. Przegapiliśmy moment, gdy Kapitan zamknął usta, a potem, odwracając głowy, patrzyliśmy, jak marszowym krokiem zmierza do Rotundy, dwupiętrowego gmaszyska z czerwonej cegły, wzniesionego na wschodnich obrzeżach placu apelowego. Orkiestra ucichła i przez chwilę tylko nasze rozśpiewane głosy tłumiły stukot podkutych oficerków.

Strażników przybywało. Prężyli się jak na paradzie, wybiegając spojrzeniami na przemian to ku bramie, to ku Rotundzie. Dowcipkowali i rozmawiali ze sobą, na nas nie zwracali uwagi.

Mijały godziny. Przeszłowałem z nogi na nogę, walcząc z narastającym bólem pęcherza i głodem. Próbując odwrócić czymś uwagę, liczyłem do stu i zaraz zaczynałem od nowa. Parcie w dole brzucha przybierało na sile. Pęcherz zrobił się twardy jak kamień, grożąc pęknięciem. W końcu się poddałem.

Na tle wieczornego nieba Mur okalający obóz wydawał się jeszcze wyższy. Przez chwilę nad poczuciem upokorzenia, zmęczeniem i głodem górę wzięła duma. Mur stał tutaj, zanim się narodziłem, myślałem. Kiedy mnie zabraknie, inni będą budować go dalej.

Zaraz potem oblał mnie zimny pot, bo tuż za moimi plecami rozległy się ściszone, męskie głosy:

Znajdą go.

Akurat!

Znajdą! Daleko nie mógł uciec.

Bałem się poruszyć, żeby strażnicy nie mnie zaczęli podejrzewać o łamanie zakazu prowadzenia rozmów.

Gdyby mieli go odnaleźć, to już by tu był.

Znajdą, upierał się ten pierwszy. Zawsze znajdują.

\*\*\*

Cień rzucany przez Wieżę Trzech Praw przesunął się, aż zajął połowę placu. Wraz z nadejściem zmroku włączyły się reflektory. Jakby żyły w niewidzialnym świetle i tylko w takich chwilach decydowały się go opuścić, chmarami zleciały się owady. Kotłowały się wokół światła, raz po raz przypuszczając atak na szklaną osłonę lamp. Przyglądając się im, próbowałem sobie wyobrazić ptaki. Jeśli nie liczyć dawnych kronik filmowych, nigdy żadnego na własne oczy nie widziałem.

Pokazał się Kapitan na czele plutonu żołnierzy; minęli Wieżę i wzdłuż Muru kierowali się ku Bramie.

Otworzyły się drzwi Rotundy i ujrzeliśmy Sędziego. Jechał odkrytym samochodem, rozparty na tylnym siedzeniu, dłonie opierał na metalowej lasce. Nawet siedząc zdawał się górować nad nami wzrostem. Strażnicy stawali na baczność, przybijając obcasami, on jednak nawet na centymetr nie odwracał głowy, jakby oszczędzał siły. Rozmieszczone wokół placu kamery podążały za nim i na białej ścianie Wieży, powiększony do gigantycznych rozmiarów, wyświetlił się jego wizerunek. Widziałem, jak bez wysiłku unosi ciężką laskę i dotyka pleców kierowcy. Samochód się zatrzymał. Sędzia dźwignął się z fotela.

Wszyscy znamy historię Samuela Millsa i jego dwunastu synów, powiedział.

Miał na sobie długą, białą szatę. Połyskiwała w świetle reflektorów. Wiatr wzdymał jej szerokie rękawy.

Jedenastu synów Samuela było ojcu bezgranicznie posłusznych, ciągnął Sędzia. Dwunasty sprzeciwiał się Samuelowi, sprzeniewierzył ojcowski majątek i na koniec ojca porzucił. Ale kiedy na syna spadły nieszczęścia, gdy u nikogo nie znajdował pomocy a głód mu doskwierał, przyznał się do grzechu pychy i powrócił do rodzinnego domu. Co zrobił Samuel? Przyjął syna pod swój dach. Wybaczył, dając przykład...

Przerwał mu dochodzący od bramy warkot werbli. Hałas przybliżał się. Ze spowijającej obrzeża placu ciemności, w jasny czworobok wytyczony światłem reflektorów, wyrzuciła się bryła ciężarówka. Na odkrytej platformie, otoczony kordonem żołnierzy, stał uciekinier, nagi jak w chwili przyjścia na świat. Po bokach wozu maszerowali werbliści. Pochód zatrzymał się na wysokości rusztowania, z kabiny ciężarówka wyskoczył Kapitan i zaczął wydawać polecenia. Werble ucichły, a żołnierze, zacieśniwszy kordon, sprowadzili uciekiniera na betonowy plac, schodkami powiedli na szczyt rusztowania.

Sędzia już tam zmierzał. W sięgającej za kostki białej szacie nie tyle stąpał po ziemi, ile unosił się w powietrzu. Dwóch żołnierzy podało mu wieniec ze świeżo ściętych białych kwiatów.

Kapitan nie odstępował go na krok, kiedy Sędzia wstąpił na rusztowanie, wszedł między rozstępujących się żołnierzy i nachyliwszy się nad nagusem, w świetle lamp podobnym do bezskrzydłej ćmy zwabionej do płomienia, zawiesił mu wieniec na szyi, po czym, dłonie opierając na jego ramionach, ucałował uroczystość w oba policzki.

Wybaczam ci, rzekł Sędzia. Pchnął mężczyznę prosto w łapy żołnierzy. Kochamy cię i wybaczymy, tak jak Samuel Mills wybaczył synowi marnotrawnemu.

Tamten się szarpnął i próbował zrzucić z siebie wieniec. Dźgnięty przez któregoś z żołnierzy pięścią w wątrobę, opadł na kolana. Krótkimi haustami łapał powietrze. W tym czasie operator podnośnika zamontowanego na platformie ciężarówka oderwał od ziemi pojemnik z hartowanego szkła; wywindowany wysoko pojemnik zawisł tuż nad uciekinierem, przez chwilę kołysał się łagodnie, by wreszcie, naprowadzony przez żołnierzy, osiąść bezgłośnie na przeznaczonym mu miejscu na rusztowaniu.

Więzień tkwił w szklanej osłonie niczym nieznanego gatunku ryba w wielkim akwarium. Werble ponownie zagrzmiały. Nie było słychać, jak krzyczy, kiedy przez otwór w górze pojemnika szlauchem popłynęła woda.

Powiększony obraz z kamery zajmował centralną ścianę Wieży na całej jej szerokości. Nie mogłem oderwać wzroku. Skazaniec górował nad placem, olbrzymi i bezbronny; kiedy woda sięgała już piersi, zaparł się plecami i nogami o ściany pojemnika, próbując go rozepchnąć. Miotał się, jakby wierzył, że gdzieś kryje się szczelina, przez którą zdoła się wydostać na zewnątrz. Nie poddał się nawet wtedy, gdy woda zakryła mu głowę i wypełniła naczynie do końca.

Wreszcie się uspokoił. Woda przestała się burzyć. Sędzia tymczasem zniknął. Kapitan uciszył werble, odesłał żołnierzy, a nam kazał się rozejść.

Plac szybko pustoszał. Posuwaliśmy się gęsiego – masa ludzka podzielona na dziesiątki potoków, każdy płynący w swoją stronę. Wstrzymywałem oddech, bo mokry w kroku kombinezon cuchnął moczem. Minąłem wielką tablicę z podobizną Jakuba Martensa. Hasło wypisane wielkimi literami przypominało o zbliżającej się dwudziestej szóstej rocznicy Wielkiej Zmiany. Błady jak sama śmierć Jakub Martens prawą rękę przyciskał do piersi, ale krew z ran postrzałowych lała się strumieniami i jego minuty były policzone. Przypomniały mi się słowa Sędziego: „Wyrzekamy się tych, którzy w tamte dni chwały woleli umrzeć we własnym łóżku”. W dwudziestą piątą rocznicę Wielkiej

Zmiany Sędzia wygłosił wielogodzinne, porywające przemówienie, a mnie wbiło się w pamięć to jedno jedyne zdanie.

Za tablicą skręciłem w lewo. Paliły się wszystkie latarnie i widno było jak w dzień. Podążałem znajomym chodnikiem, kierując się do kompleksu bloków mieszkalnych w sektorze C. Utrzymywałem równy krok, by zachować stałą odległość między idącymi za mną i tymi w przodzie. Lewa, prawa, lewa, prawa. Jeden, dwa, jeden, dwa. Dwa to dobra liczba. Bliska ideałowi.

Przekraczając bramkę sektora C, wstrzymałem oddech. Brzęczyk zamruczał, w górze zapaliła się zielona lampka, a pod nogami wyświetlił się napis: „WITAJ W DOMU. BLOK C4 KLATKA 26”. Ruszyłem dalej. Nogi same mnie niosły, jakby ktoś zdjął mi z pleców ciężar. Choć od siedemnastu lat kilka razy dziennie przechodziłem przez bramkę, to strach nigdy mnie nie opuszczał; zupełnie irracjonalny, przekonywałem sam siebie, bo prawdopodobieństwo, że pomylę sektory, tym samym uruchamiając alarm i ściągając sobie na kark strażników, było bliskie zeru.

W świetle latarń szare bryły domów mieszkalnych przybrały ciemnobrunatny kolor. Niskie i zwaliste, pozbawione okien, ciągnęły się w dwóch długich rzędach, bliźniaczo podobne do budynków w sąsiednich sektorach. Przed rocznicą Wielkiej Zmiany odnowiono hasła zdobiące zewnętrzne ściany, tu i ówdzie dodano nowe. Dach każdego budynku wieńczył „Katalog Trzech Praw”, sporządzony wielkimi literami, by nawet z daleka można było przeczytać: „PRAWO DO ŻYCIA”. „PRAWO DO SZCZĘŚCIA”. „PRAWO DO ŚMIERCI”. Przyglądałem się im często, a jeszcze częściej o nich rozmyślałem. Chyba w przekonaniu, że powiedzą mi coś o moim życiu i o mnie samym.

Zostawiłem za sobą dwa pierwsze bloki sektora C. Zza zwalistej bryły C3 wyłaniała się bliźniacza sylwetka C4. Pochód idących przede mną zdążył się przerzedzić. Ci, którzy zostali, kierowali się tak jak ja do C4. Niektórych poznawałem po plecach, choćbym jednak nie wiem jak się starał, nie potrafiłem przypomnieć sobie żadnej twarzy.

Posuwaliśmy się w milczeniu, jeden za drugim.

Jeden to liczba idealna.

Od domu, w którym mieszkam, dzieliło mnie kilkanaście kroków. Trzy czwarte bocznej ściany zajmował malunek postaci o niezbyt dobrze dobranych proporcjach. Miała rysy Jakuba Martensa, ale w białym, znoszonym kombinezonie wyglądała jak każdy z tysięcy robotników pracujących przy Murze. Ręka z kielnią wskazywała napis: „JEDEN TO POSTĘP. JEDEN TO JEDNOŚĆ. JEDEN TO SIŁA”.

Skręciłem w prawo. Widziałem już cały budynek od frontu; dokładnie pośrodku, wymalowane fosforyzującą farbą, by również w nocy można je było przeczytać, znajdowało się hasło tegorocznych obchodów rocznicy Wielkiej Zmiany: „JEDEN TO CAŁOŚĆ”.

Sporządziłem w niebo, tam, gdzie przesłonięty skrajem chmury księżyc wyglądał jak ucięty nożem.

Wtedy właśnie tuż za sobą usłyszałem:

Niezlą szopkę nam urządzili, co?

Wtuliłem głowę w ramiona. Musiałem się przesygnąć, wmawiałem sobie, pilnując się, by nie ulec instynktowi i nie przyspieszyć.

Z tyłu znowu dobiegł mnie szept:

Nie mówiłem, że go znajdą? Zawsze znajdują.

Ten sam głos, który słyszałem na placu apelowym!

Ale ty chyba nie dałeś się nabrać? Zaśmiał się, potem rozkazał. Masz więcej oleju w głowie niż inni. Od dawna cię obserwuję.

Wiele mnie kosztowało, żeby nie puścić się biegiem. Jeśli to prowokacja strażników, to tylko czekają na pretekst. Jeszcze gorzej, gdyby któryś z ludzi Sędziego wystawił mnie na próbę. Byle nie stracić panowania nad sobą! Jeżeli się nie odwrócę albo nie zacznę biec, mam szansę wyjść z tego cało.

Drzwi do klatki 26 otworzyły się na krótko, wpuszczając kolejnego lokatora. Zamknęły się z powrotem, ale kwadratowy czytnik na prawo od nich wciąż świecił na czerwono. Przede mną nie było już nikogo. Zwolniłem, zatrzymałem się na wprost wejścia i odczekawszy, aż czerwone zmieniło się na zielone, przyłożyłem kciuk lewej ręki do kwadratu czytnika. Ledwo metalowe drzwi się rozsunęły, wślizgnąłem się do środka. Tak jak nakazywał regulamin, korytarz był pusty, wszystkie mieszkania pozamykane. Chociaż wiedziałem, że obserwują mnie kamery, odważyłem się zerknąć przez ramię. Nikt za mną nie szedł.

Stałem pod drzwiami mojego mieszkania. System identyfikacyjny zweryfikował informacje zapisane na płytce w kciuku i drzwi się otworzyły. Na miękkich nogach przekroczyłem próg. W tyle głowy narastał pulsujący ból. Nie zapalając światła, odszukałem prostokątną wypukłość w ścianie przedpokoju i przyłożyłem tam nadgarstek. Po kilku sekundach MedTest cicho zapikał, wyświetlacz rozjarzył się na niebiesko i od góry do dołu zaczęły się przesuwać rzędy pulsujących liczb. Ciśnienie 130 na 90, tętno 84, temperatura ciała 36,6 stopni, praca serca prawidłowa – rytm zatokowy, skład krwi również w normie.

Przeszedłem do pokoju. Zajmujący jedną trzecią ściany Ekran włączył się w reakcji na moją obecność. Obrazowi nie towarzyszył dźwięk. Starłem się uspokoić oddech i patrzyłem. Można by pomyśleć, że po śmierci szklany pojemnik stał się dla topielca za ciasny, bo leżał zwinięty w kłębek. Długo przyglądałem się podeszwom jego stóp. Nie, wzrok mnie nie mylił. Zdjąłem cuchnący moczem kombinezon, wróciłem do przedpokoju i wrzuciłem ciasno zwinięty pakunek do ściennego zsypu na brudne ubrania. Upewniwszy się, że poleciał w dół szybu, poszedłem do łazienki.

Podeszwy stóp topielca były gładkie, bez śladów nacięć ani oparzeń. Zmywając pod strumieniem prysznica brud i pot zmieszany ze smrodem uryny, miałem o czym rozmyślać. Próbowałem usunąć obraz z pamięci, bo przeczuwałem, że nic dobrego dla mnie z tego nie wyniknie.

Wytarłem się do sucha i z ręcznikiem wokół bioder przeszedłem do aneksu kuchennego. Wyjąłem z lodówki popołudniową porcję. Po namyśle dorzuciłem wieczorną i obie wstawiłem do kuchenki. Gotowe przełożyłem na talerz, zdjąłem folię, odkroiłem

widelcem kawałek brunatnozielonego kotleta z soi i spróbowałem. Z talerzem w rękę odwróciłem się, żeby przejść do pokoju. Nogi się pode mną ugięły. Przy stole, bokiem do Ekranu, siedział Sędzia.

Nie zajmę ci dużo czasu, powiedział. Dokładnie tyle, ile trzeba i ani minuty dłużej. Czemu stoisz?

Przynaglił mnie ruchem ręki.

Jedz, bo ostygnie.

Usiadłem. Wziąłem widelec do ręki. Przemogłem strach i spojrzałem. Sędzia był przebrany w jasnoszary garnitur i chabrową, rozpiętą pod szyją koszulę. Światło z ekranu odbijało się w wielkiej, łysej głowie. Pierwszy raz widziałem go z tak bliska.

Zerknął na topielca i powrócił spojrzeniem do mnie. Oczy pod krzaczastymi siwymi brwiami wydawały się zbyt małe w stosunku do masywnej głowy.

Byłem pewien, że się domyślisz, powiedział, wskazując brodą Ekran ze skazańcem. Ale nie w tej sprawie przychodzę.

Pochylił się i miał teraz usta na wysokości mojej twarzy. Chcę ci zadać jedno pytanie, powiedział.

Po jego odejściu długo nie wstawałem od stołu. Bałem się, że nogi mnie nie utrzymają. W końcu się podniosłem. Ręcznik się rozwiązał i zsunął na podłogę, ale się nie schyliłem. Pilotem wyłączyłem bezpośredni przekaz z kamery na placu apelowym. Przyciskiem PROJEKCJE wybrałem opcję WIDOK Z OKNA NOCĄ. Zdecydowałem się na PÓŁ-NOCNĄ STRONĘ MURU i kiedy zgasilem światło, ciemność rozjaśnił tworzący duży prostokąt na ścianie trójwymiarowy obraz znajomej budowli na tle nocnego nieba.

Mur przesłaniał wszystko, wystarczyło jednak popuścić wodze fantazji, by wyobrazić sobie odległy horyzont i w miejscu, gdzie rozgwieżdżone niebo stykało się z ziemią, wypatrzeć światła Miasta. Patrzyłem na sztuczny księżyc, na konstelacje gwiazd, które miały swoje nazwy, choć nigdy ich nie poznam. Myślałem o ludziach układających się teraz do snu w dalekim Mieście, myślałem o uciekinierze, który najpewniej właśnie tam próbuje się dostać, a w uszach wciąż mi dźwięczało pytanie Sędziego.

Czy masz jakieś marzenie?, zapytał.

*Zrealizowano w ramach stypendium z budżetu  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego*

Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego